

Z profesorem Franciszkiem Lyrą  
rozmawia Krzysztof Hoffmann

## Kennedy, FBI i Barańczak



Prof. Franciszek Lyra,  
fot. Mariusz Kosiński

**Bardzo miło mi poznać pierwszego stypendystę w historii Programu Fulbrighta w Polsce. Panie Profesorze, chciałem spytać...**

Przede wszystkim do wiadomości: ja nie uznaję habilitacji, w związku z tym nie mam profesury, bo w Stanach Zjednoczonych zrobiłem doktorat.

**Wiem, w sześćdziesiątym drugim roku, z lingwistyki.**

I z literatury, lingwistykę oficjalnie, ale z literatury też otrzymałem. Jak pan wie, w Stanach Zjednoczonych nie ma habilitacji. Więcej, są pracownicy naukowi, którzy nie mają doktoratu. Znam takich, kilka bliskich mi osób, również na Harvardzie, gdzie spędziłem całe trzy lata z przerwą.

Wspominałem o tym w pewnym wywiadzie, który, jak domyślam się, pan zna.

**Tak.**

Ale jest jeszcze inny tekst. Tego pan pewnie nie kojarzy, z pisma „Ameryka” [F. Lyra wyciąga numer pisma]. Wychodziło w Polsce... Sporo numerów, ale między innymi i ten, dwudziesty, okrągły, zarazem dwudziestolecie pisma. Poproszono mnie o artykuł wspomnieniowy z tego pobytu. Współpracowałem z różnymi pismami, również amerykańskimi. Jedno z nich poprosiło mnie o recenzję publikacji na temat stanu literatury amerykańskiej w krajach Europy Wschodniej. Zaskoczyło mnie to, nie znam przecież wszystkich języków, ale zwróciłem się do amerykańistów

z kilku krajów. Tylko dwóch odpowiedziało. Jakoś to się toczyło. Ale już popadam w dygresję. Oto dwudziesty numer „Ameryki”. Poproszono o tekst mnie i profesora Daniela Aarona [pierwszy amerykański stypendysta Fulbrighta w Polsce – red.].

### **Zakładam, że panowie się znali.**

Tak, był moim bardzo bliskim przyjacielem. O wiele starszy ode mnie, zmarł kilka miesięcy temu w wieku stu czterech lat. Kiedy byłem kolejny raz w Stanach, zauważyłem w domu, w którym mieszkalem, że w garażu wisiał nieużywany rower [śmiech]. Zapytałem: „Słuchaj, czy mogę korzystać z roweru? – Proszę bardzo, proszę bardzo”. Jak jeździłem po zakupy na rowerze, to śmiali się ze mnie. Tam się przecież wszystko robi w samochodzie. Dopiero teraz zaczynają jeździć rowerem. Dan też jeździł rowerem do swojego pokoju.

### **Widzę, że tekstowi z „Ameryki” towarzyszy zdjęcie ze spotkania z Kennedym. Musiało być bardzo wyjątkowe.**

To spotkanie było z okazji tak zwanego dnia studenta zagranicznego, International Student Day; zostałem reprezentantem studentów ze Wschodniej Europy. Jeden za cały ten obszar.

### **Powróćmy jednak do początku. Wyjeżdża Pan w pięćdziesiątym dziewiątym roku. Ciekawi mnie spojrzenie na ostatni dzień w Polsce przed wylotem i pierwszy dzień w Stanach. To jest**

### **moment, w którym mamy ledwo co odwilż w Polsce i złoty okres silnej Ameryki po drugiej stronie oceanu.**

W ogóle dzięki odwilży w Polsce zaczął się program Fulbrighta. Nie dzięki komunie, ale w tym okresie, bo Gomułce zależało na tym, żeby nawiązać dobre stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Dyrektor anglistyki, profesor Margaret Schlauch, otrzymała wiadomość, zaproszenie, żeby wyznaczyć jakiegoś studenta, raczej już magistranta, do stypendium Fulbrighta. No to wyznaczyła mnie. Nie miałem wówczas pojęcia, czym jest ten program. Skąd miałbym to wiedzieć? Głupio jakoś było mi spytać. A co, gdyby się okazało, że ona też nie wie? [śmiech]

Załatwianie mojego paszportu, którego nie można było wtedy trzymać w domu, trwało rok. Jak się dowiedziała o stypendium ambasada amerykańska, wezwano mnie i powiedzieli: „Dostał je pan i teraz od pana zależy wybór uczelni. Ale tylko stanowe, żadnej prywatnej”. Amerykański attaché kulturalny powiedział: „Jesteś pierwszym fulbrightowcem, od ciebie zależy, jak ten program będzie się rozwijał”. Ja mówię: „Jak to?”. „No tak, od ciebie, możesz wybrać co chcesz, możesz i nic nie robić”. Tak trochę chyba żartował. Attaché kulturalny dał mi spis tych uczelni i poszedłem do akademika. Tam usiadłem, wziąłem listę, dokładną mapę... Pomyślałem, że wybiorę uczelnię najbliższą centrum Stanów Zjednoczonych. Najbliższa wydała mi się Bloomington, Indiana.

### **Czyli cały wybór był podyktowany geografiami?**

A nie na przykład jakimiś tam wiadomościami o jakiejkolwiek uczelni? Tak, ponieważ ich po prostu nie znałem. Skąd niby miałbym znać? Do Polski wtedy takie informacje raczej nie docierały, a już na pewno nie do studentów.

### **Jest zatem rok 1959. Leci Pan do Stanów.**

Już w samolocie z Nowego Jorku do Indianapolis obok mnie było małżeństwo z dzieckiem. Matka nawiązała kontakt ze mną, starsza ode mnie. Jak mąż usłyszał, że lecę na Bloomington University, powiedział: „Ja tam jestem profesorem anglistyki”. Czysty przypadek. I mówi: „Wiesz co? To ja cię zawiozę, bo jedziemy do domu”. Wtedy z Indianapolis do Bloomington było trudno się dostać. Wsadził mnie do samochodu. Zajechaliśmy na miejsce. I mówi: „Jak się zadowolisz, to daj znać”. Dał mi numer telefonu i wysiadłem.

Wysiadam, była połowa sierpnia, wiedziałem, że zamieszkać w akademiku takim i takim. Kurczę blade, zatkało mnie. Położyłem walizkę, ciężka była, bo na jakiś rok się pakowałem, i tak stanąłem. Późne popołudnie, cudowna pogoda i oczom nie wierzę. Raz, że byłem zmęczony, dwa, przyjechałem z kraju wiadomo jakiego... A widzę te potężne osobowe samochody, niesamowite, po kiego diabła takie samochody, i przedziwne miasto, różne inne rzeczy.

Docieram wreszcie do akademika. Dostaję pokój z telefonem. Tak! Pokój z telefonem! Później zgłosiłem się do kierownika katedry językoznawstwa, przedstawiłem się i on mówi: „Na jak długo przyjechałeś?”. Mówię: „Mam stypendium na dziesięć miesięcy i muszę wracać”. Wtedy wszyscy, a przynajmniej wielu Polaków, którym udało się wyjechać, zostawali...

### **I już nie wracali.**

Powiedziałem sobie: nie ja, bo attaché kulturalny mi powiedział, że jeżeli ja zostanę, to kto wie, jakie będą konsekwencje...

### **Dla programu.**

Dla programu i przyszłych stypendystów, jeżeli będą. Z dziesięciu miesięcy zrobiły się trzy lata, ale już wtedy postanowiłem, że będę wracał.

Chociaż szybko zdobyłem przyjaciół, tam, w Bloomington. Byłem ledwo dwadzieścia cztery godziny w pokoju, już były telefony, bo była sensacja, że przyjechał człowiek z komunistycznego kraju. W słuchawce: „Przyjdź do mnie, zapraszam na kolację”. Nie miałem nawet pojęcia, kto to jest.

### **Ale jakaś pokusa, żeby nie wracać, też pewnie była.**

Tak, była. Zwłaszcza już po doktoracie. Trafiłem na doktorat, bo tak mi doradzono. Jak już po przylocie się zainstalowałem i zgłosiłem do kogo trzeba... Jak pan pewnie wie, w Stanach wszyscy profesorowie mają swoje pokoje. Idę, gdzie powinienem, podchodzę

do pokoju, kierownik katedry ma nogi na biurku, przy ścianie tapczan. To było wtedy w Polsce nie do pomyślenia. Mówi mi: „Wiesz co? Ja ci radzę, postaraj się, zapisz się na program doktorancki”. Gdy powiedziałem, że nic nie wiem o studiach doktoranckich, cierpliwie mi wyjaśnił i tak zrobiłem. Nie ma wielkiej historii. Skończyłem te studia i wróciłem do Polski w sześćdziesiątym drugim roku, wiedząc, że na pewno dostanę pracę, bo doktorat został tutaj uznany, i tak to się skończyło.

### **Domyślam się, że przez te trzy lata nie wracał Pan do Polski?**

Gdzie tam. Wówczas nie wolno było wyjeżdżać ze Stanów. Albo inaczej: gdybym wyjechał gdziekolwiek choćby na tydzień, musiałbym mieć nową wizę. A jej załatwianie trwało wówczas kilka miesięcy. Za to ferie postanowiłem wykorzystać do poznania trochę Stanów Zjednoczonych. No a jak najlepiej poznać? Nie samolotem, nie autobusem nawet, tylko własnym samochodem. Tylko jak własnym samochodem, jak stypendium wynosiło 110 dolarów miesięcznie? Na szczęście już wtedy miałem znajomych i profesorów z różnych wydziałów, bo mnie zapraszali. Był Instytut Wschodniej Europy, podobno najlepszy w Stanach Zjednoczonych, i dyrektor tego instytutu mnie zaprosił, bo byłem z kraju komunistycznego.

### **Jednak fakt pochodzenia z kraju komunistycznego okazał się pomocny?**

Pod tym względem jak najbardziej. Poznałem wówczas różnych ludzi, między innymi pielęgniarkę, która pracowała w Bloomington i której koleżanka, też pielęgniarka, zapraszała mnie czasami w niedzielę na obiad. Gdy zachorowała, spytała: „Zająłbyś się moim samochodem tak długo, jak ja będę w szpitalu?”

### **I w ten sposób...**

W ten sposób stałem się posiadaczem samochodu. Po prostu najzwyczajniejsze przypadki. Ale zawsze były bardzo miłe. Jak już samochód miałem, zacząłem jeździć po Stanach Zjednoczonych. Miałem uskrobane parę dolarów, ale wiedziałem, że musi być jak najtaniej. Któregoś dnia przy jakimś tam spotkaniu z wykładowcami na pytanie: „Jak spędzisz wakacje?”, ja mówię, że tak i tak i że będę spał w samochodzie. W ten sposób zyskałem pożyczony namiot i potem w nim spałem.

### **I w ten sposób zwiedzał Pan Stany.**

Nie całe oczywiście, ale kilka odwiedziłem. Do Faulknera również pojechałem. Jeszcze się go czyta?

### **Ci, co czytają, czytają i Faulknera. Ale doszło do spotkania?**

Z Faulknerem? Nie było spotkania. To znaczy było i nie było. Ja zjechałem aż do stanu Missisipi. Tam wszelakich Warszaw i innych polskich nazw najrozmaitszych jest dość sporo. W każdym razie jak tam byłem, nie spotkałem

go. Jednak zobaczyć Południe dla kogoś, kto pochodził z Polski, było cennym wkładem w zrozumienie samego pisarza. A już później uczestniczyłem w spotkaniach Faulknera ze studentami na Uniwersytecie Wirginii w Charlottesville.

### **Nauka przez uczestnictwo?**

Chciałem być jak najbliżej życia, tego normalnego amerykańskiego stylu. A bywało różnie. Rok po mnie przyjechał do Stanów, również do Bloomington, kolejny stypendysta Fulbrighta. Student z Moskwy... choć może już nie był wtedy studentem. Mieszkaliśmy w tym samym akademiku. Na uniwersytecie co tydzień odbywały się w czwartki spotkania na najróżniejsze tematy. Któregoś dnia zaproszony został amerykański profesor z wykładem o komunizmie w Rosji. Ów rosyjski student, właściwie radziecki, również był obecny. W dyskusji okazał wielkie oburzenie, zaczął strasznie krytykować wykładowcę. niesprawiedliwie zresztą.

Dzień czy dwa dni później, w każdym razie wkrótce po tym spotkaniu, z ambasady radzieckiej przyjechał po niego samochód: „Pojedziemy do ambasady sobie, zostaw tu swoje rzeczy, wracasz, a chcemy z tobą porozmawiać”. Dlaczego nie na miejscu, tylko do ambasady? Zabrali go i wysłali z powrotem do Moskwy.

### **Już nie wrócił?**

Już nie wrócił.

### **Słyszałem jednak i o Pana przygodach, chociażby z paszportem...**

No tak. Wtedy, żeby mieć wizę, paszport musiał być ważny pół roku wcześniej. Wysłałem paszport do konsulatu w Chicago. Już nie mieszkalem w akademiku, bo studenci zwykle po roku wyprowadzają się do mieszkań. Też takie znalazłem i któregoś dnia, w piątek, gdy właściciela nie było w domu, rozległo się pukanie do drzwi. Otwieram, a tu nieznaną mi osoba. Przedstawia się, FBI, mówi: „Paszport proszę”.

### **Dlaczego akurat Pan?**

Byłem pod nadzorem, wie pan, wszyscy, którzy przyjeżdżali ze Wschodniej Europy, byli pod jakimś nadzorem. Proszę to sobie wyobrazić. Lata 60., wtedy FBI było stosunkowo młodą organizacją, a ja paszportu nie mam, bo wysłałem. Słyszę: „Nie ma pan paszportu, no to nie może pan zostać tutaj”. I krótko mówiąc: „Do poniedziałku musi pan się wynieść ze Stanów Zjednoczonych”. Był piątek, a w Stanach w piątki pracuje się z reguły do piątej. Jeśli dobrze pamiętam, to wyszedł około czwartej. Zadzwoiłem do dziekana studentów zagranicznych. On mówi: „Proszę do mnie”. Jak już mu wszystko opowiedziałem, usłyszałem: „Ani się rusz, siedź, jak przyjdzie z powrotem w poniedziałek, przyslij go do mnie”. W poniedziałek nikt nie przyszedł. Kilka dni później – list z Waszyngtonu, z Departamentu Stanu. Otwieram – zaproszenie na spotkanie z Kennedym. Widzi pan, taka była wówczas rzeczywistość.

### **Wraca Pan do Polski w 1962 roku. Chyba znów musiało Pana zatkać?**

Powiedziałem: „Trudno, koniec” i wróciłem do Warszawy.

Może odpowiem na tę kwestię z innej strony. Z perspektywy czasów przed wyjazdem. Byłem studentem, mieszkalem w akademiku. Wówczas mało kto znał dobrze język obcy. A ponieważ znałem już angielski, rzecz jasna nie tak dobrze, jak po pobycie w Stanach, również niemiecki, słabiej rosyjski i trochę francuski, a znajomość łaciny była wtedy oczywistością, dowiedzieli się jakoś o tym w Ministerstwie Kultury. Nie jestem pewien, w jaki sposób, ale jakoś to im się udało. Może dlatego, że było blisko anglistyki. Jak odbywała się jakaś impreza, a było to całkiem często, przyjeżdżali zwłaszcza artyści z Niemiec albo z Anglii. Musiał im towarzyszyć tłumacz.

A po pobycie w Stanach wróciłem i gdzie tu niby znaleźć miejsce? Po tych wszystkich doświadczeniach? Zająchałem do akademika. Nie byłem już studentem, nie miałem prawa z niego korzystać. Ale za to byłem w bardzo dobrych stosunkach z kierownikiem. Pojechałem do niego i pytam: „Czy mógłbym...”. „A proszę bardzo”. Nic nie musiałem płacić. Wszystko przez jednego Alfreda, dziennikarza ze Szwajcarii, którego oprowadzałem jeszcze jako student. Załatwiłem mu nocleg w akademiku, a on później przysyłał paczki, głównie dla kierownika.

**Chociaż miałem na myśli to, że po trzech latach spędzonych jednak w kraju, który był i nadal jest pewnym wzorem albo wzorcem demokracji, wracał Pan do kraju, który z demokracją miał niewiele wspólnego.**

Owszem. W czasie którejs z rocznic mickiewiczowskich odbywała się konferencja, a przy niej zjazd pisarzy polskich. Oczywiście pojawili się goście z różnych krajów, między innymi przyjechała delegacja z Rumunii. „Opiekuj się nimi, tą delegacją z Rumunii” – usłyszałem. Opro-wadzałem ich zatem po Warszawie – rzecz jasna i poszliśmy pod Pałac Kultury, na którym było napisane „im. Józefa Stalina”. Była to mała grupka dwóch czy trzech Rumu-nów i ktoś jeszcze. Pytam ich, czy chcą wejść do pałacu. Nie, nie chcą. Jeden z nich, jak zobaczył ten napis, podszedł do mnie i dał mi w twarz. Okulary mi spadły, które noszę od dzieciństwa. Patrzy na mnie: „Jesteś chory, psychicznie chory”.

**Jeśli mogę podpytać, jeszcze wracając na chwilę do Stanów, ale do jednego punktu, do Harvardu. Z punktu widzenia polonisty z UAM interesuje mnie, czy miał Pan możliwość spotkać Stanisława Barańczaka.**

Skąd pan wie?!

**Podpytuję, nie wiem.**

Tak. To ciekawe, ale Barańczaka po raz pierwszy spotkałem, jak byłem studentem jeszcze anglistyki, w latach 50.

**A Barańczak wtedy pracował jeszcze na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza.**

Tak jest. Często przesiadywałem w bibliotece ambasady amerykańskiej. Raz po raz przechodził korytarzem jakiś pracownik ambasady, byłem na tyle często, że poznawali mnie z widzenia. I tam też spotkałem Barańczaka. Ale podobnie – tylko z widzenia. Ciekawsze może jest to, dlaczego siedziałem właśnie w tej bibliotece. Wszystko przez pismo z UB, ponieważ musiałem być przez nie śledzony. UB miało wtedy siedzibę na placu Bankowym. A wezwanie dostałem dlatego, że byłem zaproszony kiedyś do ambasady brytyjskiej. W UB zaczęło się przepytывanie, a na koniec: „Ani razu już... Do ambasady brytyjskiej już nie”. A ja do funkcjonariusza: „A ambasada amerykańska?”. „A proszę bardzo, może pan”. Nie wiem dlaczego, ale krótko mówiąc, bywałem tam potem często.

Później miewałem różne zaproszenia do ambasady na imprezy. Pamiętam, że jak zostałem zaproszony do ambasady amerykańskiej, posadzono kilka, kilkanaście osób przy jakimś okrągłym stole. Zaczęły się rozmowy. Ja się przedstawiłem, on się przedstawił, Barańczak, i on mówi: „Wie pan, ja czytałem pana książkę o Faulknerze” – i na tym się właściwie skończyło.

**To było jedyne spotkanie?**

Było jeszcze w Stanach. Barańczak został zaproszony jako wykładowca do Harvardu. Jak zjechałem potem do USA kolejny

raz, do Harvardu, to nie pamiętam już, czy to ja do niego zadzwoniłem, czy nie, ale chyba tak. Ale wtedy spotkaliśmy się w ambasadzie polskiej w Waszyngtonie, gdzie również odbywały się różne spotkania.

Już wtedy zaczynała się choroba. Jak mówił, ledwo było go słyhać. Miał problemy.

**Pamięta Pan, jakie wrażenie zostawił po sobie?**

Mam takie wspomnienie, powiedzmy, polonistyczne. Bo on tam miał przecież zajęcia z języka i literatury polskiej. Chociaż nigdy nie byłem na nich, a teraz żałuję. W każdym razie wiem od osoby, która na nie uczęszczała, a która pracowała w bibliotece harwardzkiej, tak zwanej Widener Library. Usłyszałem wówczas: „Ma wiedzę, ale dziwnie wyklada, czasami go nie rozumiemy, a nas nie ma wielu”. Nas, czyli studentów; nie pytałem ilu.

czerwiec 2018